

OD ORŁÓW

Wacław Kuzło, mieszkaniec Leska, pobił na paralotni rekord przelotu nad Bieszczadami. Pokonanie dystansu 17 km z góry Laworta koło Ustrzyk Dolnych do Czarnej zajęło mu 2 godziny i 10 minut. To jednak nie ostatnie słowo lesczanina. Zamierza on pobić swój własny rekord. Wierzy, że uda mu się przebyć dystans pięciokrotnie dłuższy.

Glejt na glajt

Do lotniarstwa ciągnęło go od dziecka. Będąc szkrabem zrobił nawet lotnię własnej konstrukcji, na której skoczył z niewysokiej piwniczki. Później, jako nastolatek, wędrował często z kolegami na górę w Bezmiechowej, która już przed wojną słynęła z szybownictwa. Któregoś dnia zobaczył tam latające, kolorowe spadochrony. Byli to adepci paralotniarstwa trenujący pod okiem Bogusława Pelczara z Krosna, prekursora tego sportu na Podkarpaciu. Wacław Kuzło jest właśnie jego uczniem.

Pierwszy raz wsiadł na paralotnię typu Krogulec w 1992 roku, mając 19 lat. W czasie nauki zdarzyło mu się kilka lądowań na drzewach. – Jest to niegroźne – zarzeka się pilot. – Jedyny problem, to ściągnięcie paralotni z drzewa. Jeszcze kilka lat temu Bezmiechowa była dość mocno porośnięta tarniną. Lądowanie w takich krzakach nie było przyjemne.

Zarówno pan Wacław, jak i jego paralotnia z bliskich spotkań z drzewami wychodzili bez szwanku, ale dwa lata temu jeden z paralotniarzy podczas lądowania na czubku drzewa oderwał metr tkaniny. W takim przypadku paralotniarz musi sobie sprawić nowy glajt.

Zdarzyło mu się wylądować w pasiece. – Na szczęście była już jesień i pszczoły nie opuszczały uli, ale ja o tym nie wiedziałem. Uciekałem w popłochu – wspomina. – Drugi raz, podczas wchodzenia w Bezmiechowej pod górę, obok mnie przeleciał wędrujący rój. Zrobiło się nagle ciemno. Ale, na szczęście pszczoły szybko poleciały dalej.

Po kursie Wacław Kuzło zyskał licencję L, czyli podstawową. Dzisiaj ma licencję typu B, wyczynową, która upoważnia do latania na dużych wysokościach w bardzo ciężkich warunkach.

Jedną z pierwszych paralotni w Bieszczadach należała właśnie do Wacława Kuzły. Zakupił ją po roku latania. W tej chwili ma już czwartą z kolei, wyczynową. – Trzeba mieć odpowiednią umiejętności, by na niej latać. Pilot, który dopiero się uczy, nie może na niej latać, bo to zbyt niebezpieczne – wyjaśnia.

Po uzyskaniu licencji podstawowej paralotniarz z Leska zapisał się szybko na kurs szkoleniowy we włoskich Alpach, w miejscowości Bassano. Trenował pod okiem Grzegorza Olejnika, mistrza Polski. – Lataliśmy wzdłuż góry o wysokości 1500 metrów, w bardzo ostrych warunkach. Dwa tygodnie takiego kursu pozwoliło mi zdobyć licencję pilota sportowego.

Pięć przelotów na minimalną odległość

8 km i zdanie egzaminu dało mu licencję pilota wyczynowego. W chwili obecnej, jako jedyny w Aeroklubie Bieszczadzki, posiada kategorię B. Swoje doświadczenie przekazuje kolegom, szkoląc młody narybek paralotniarstwa.

Z orlikami w powietrzu

Dla paralotniarza dni liczą się na lotne i nie-lotne. Kiedy wieje wiatr z prędkością powyżej 9 m/s, paralotniarz siedzi w domu. Opuści też siebie, kiedy pada. Ale gdy zaświeci słońce i wieje lekki wietrzyk, paralotniarze są w swoim żywiole. Przeszkodą w uprawianiu tego sportu wcale nie są warunki bezwietrzne. Paralotniarze i na to wynaleźli sposób. Kiedy nie ma wiatru, posługują się tzw. napędem plecakovym. Umożliwia on startowanie praktycznie w każdych warunkach i wykonywanie lotów na dużą odległość. Rekordy przelotu bije się jednakże latając bez napędu.

– Przeloty na duże odległości wykonujemy nie od dzisiaj – podkreśla Wacław Kuzło. – Już kilka lat temu lataliśmy na 10 - 12 km. Z tym, że były to przeloty niedokumentowane, zupełnie przypadkowe. Latając sobie nad górą napotykało się komin wznoszący i wychodziło się na taką wysokość, na jaką wyniosło.

Z biciem rekordu było tak: Wacław Kuzło zaplanował sobie rano 27 maja, że tego właśnie dnia pobije rekord przelotu nad Bieszczadami i jak powiedział, tak zrobił. Postanowił wystartować z Laworty, która jest najlepszą górą w Bieszczadach, nadającą się do lotów przy północnych wiatrach. – Wyszedłem na górę, wyczekałem na odpowiednie warunki, wystartowałem i poleciałem – opowiada. – To nie sztuka polecieć. Sztuką jest zadeklarować się i w tym momencie polecieć, kiedy się wie, że są warunki.

Dzień wcześniej pan Wacław wykonał lot rozpoznawczy. Poleciał na odległość 12 km w stronę góry Jawor. Burza zmusiła go jednak do lądowania. Wynik lotu rozpoznawczego skłonił go do podjęcia próby bicia rekordu.

Nazajutrz pogoda była dobra. – Jadąc w stronę Ustrzyk widzieliśmy bociany, które kręcąc się, z niewielkiej wysokości w mgnieniu oka wychodziły pod chmury. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że będzie dobra termika – fachowo objaśnia Wacław.

Pilota z Leska wyniosło na 1000 m ponad szczyt. – Zdecydowałem się odejść od góry w stronę Żukowa, by tam szukać następnych kominów termicznych, co mi się udało. Z następnym kominem wyjechałem na wysokość 1700 m, pod podstawy chmury. Z tą wysokością zdecydowałem się na lot w stronę Otrytu, ale warunki nie pozwoliły dolecieć. Wylądowałem w Czarnej.

Trasę przelotu liczy się w linii prostej, choć faktycznie pilot pokonał 30 km. W czasie bicia rekordu największą szybkość wznoszenia wyniosła 6,5 m/s, zaś opadania 5 m/s. W czasie lotu paralotniarzowi towarzyszyły ptaki. Były to orliki. Wcale nie bały się człowieka. Pilot leciał ich śladem, szukając kominów powietrznych.

NIE GORSI

Aby przelot zaliczyć, trzeba dopilnować wymogów formalnych. Pilot przed startem wypełnia kartę, w której widnieje czas, godzina i miejsce bicia rekordu. Na starcie wykonuje zdjęcie. Po wylądowaniu również robi zdjęcie i wypełnia kartę lądowania. Do potwierdzenia przelotu potrzebni są świadkowie. – Miałem szczęście, że widziano mnie z boiska szkolnego w Czarnej. Akurat odbywały się tam zajęcia. Zaraz zbiegły się dzieciaki. Nauczyciel ze szkoły potwierdził lot.

Materiały z lotu wraz z nie pociętym negatywem dostarcza się Przelotowej Komisji Paralotniowej. Na końcu roku komisja przedstawia listę rankingową, obrazującą dokonania paralotniarzy w kraju i Europie.

W skali ogólnopolskiej, patrząc na wyniki zeszłego roku, Waław Kuzło mógłby ze swoim wynikiem uplasować się na trzecim miejscu. – W skali Europy to nie jest duży przelot, ale na tutejsze warunki i owszem. Przyjeżdżają w Bieszczady paralotniarze z Warszawy, Zakopanego i nie udało się nikomu polecieć dalej niż na odległość 5 km. W zasadzie nikt nie odważył się na odejście od miejsca startu. Wysokość gór nie jest wystarczająco dobra, aby za jednym startem zająć się na jakiś komin. Laworta jest tak małą górą, że trafienie w komin jest naprawdę trudne. Dwa tygodnie przed przelotem utrzymywała się w Bieszczadach sprzyjająca pogoda, więc jeździliśmy do Ustrzyk i lataliśmy, a że kominy termiczne odchodzą czasami z tych samych miejsc, wiedzieliśmy, gdzie jest noszenie. Słońce było wysoko, ziemia odpowiednio nagrzana – jakby „usprawiedliwia” swój wyczyn Waław Kuzło. Pilot spędził w powietrzu ponad 2 godziny.

Rekord świata w lataniu **glajtem** na czas wynosi 24 godziny. **Ustanowił** go Japończyk. Bieszczadzki rekordzista przebywał najdłużej w powietrzu 4,5 godziny, latając we Włoszech. W Bieszczadach było to 2,5 godziny na Bezmiechowej. Waław Kuzło nie jest jednak wielbicielem latania na czas. – Można dłużej latać, ale po pewnym czasie jest to już monotonne. Można otworzyć gazetę i czytać – uważa. – Natomiast w lataniu przelotowym dużo się dzieje. Czasami paralotnia się składa i rozkłada. Prądy termiczne są duże, ale w takich warunkach może latać tylko dobrze wyszkolony pilot. Czasami chmura może zabrać niedoświadczonego pilota na dużą wysokość. Jest to bardzo niebezpieczne. Mam kolegę, który studiuje w Norwegii i zna mistrza tego kraju. Opowiadał mi historię, która jest znana w całej Europie. Tego Norwega wciągnęło w tzw. cumulonimbusa. Wpadł na wysokości 4 tysięcy metrów. Linki od paralotni, które mają grubość 1,5 mm, miały grubość palca, tak były oblodzone. Przeżył tylko dlatego, że był dobrze wytrenowany i przygotowany do takiego lotu. Nie każda chmura jest bezpieczna. Niektóre wciągają z prędkością 30 m/s. Generalnie nie wolno w takich warunkach się znaleźć. Jest to na granicy wytrzymałości sprzętu i ludzkiego organizmu.

Bieszczadzka Republika Glajcarska

Paralotniarstwo może uprawiać właściwie każdy. Młodzieniec i starsuszek. Chudy i gruby. Dlatego też sport ten, jak i inne sporty ekstremalne zresztą, cieszy się coraz większą popularnością.

– Paralotniarstwo to w tej chwili najtańszy sposób latania – zauważa Waław Kuzło. – Cena nowej paralotni z atestem waha się od 3 do 6 tys. marek niemieckich, natomiast polscy konstruktorzy szyją paralotnie w cenie od 3 tys. zł wzwyż. Paralotnię z drugiej ręki, naprawdę w bardzo dobrym stanie, można kupić za 2 tys. zł, a to przecież jest cena roweru.

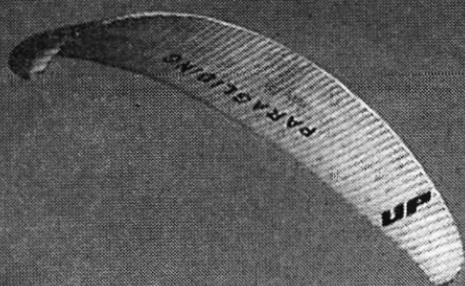
Kurs podstawowy kosztuje 400 zł. Instruktorzy z Aeroklubu Bieszczadzkiego przyjęli zasadę, że nie da się pilota wyszkolić w określonym czasie, bez względu na panujące warunki pogodowe. Dlatego kurs trwa od 10 dni do 2 tygodni. Po 2 dniach szkolenia adepci paralotniarstwa wykonują pierwsze loty. – Jest to naprawdę bardzo łatwe – przekonuje pilot.

Najlepsze warunki do szkolenia w Polsce posiada góra w Bezmiechowej i pasmo Żukowa. Dlatego też w ostatnich latach Bieszczady stały się Mekką instruktorów paralotniarstwa. Swoje szkoły zakładają tu instruktorzy z całej Polski. Oczywiście, przywożą z sobą uczniów. Waław Kuzło nie o wszystkich ma najlepsze zdanie. – Uczniowie płacą po 600 zł albo i więcej za 10-dniowy kurs, bez względu na to, czy się w tym czasie nauczą latać, czy też nie. Jeśli nie było dobrych warunków do latania, to pieniądze po prostu przepadają. Niektórzy chcą ludzi nauczyć „na chłama”, zapominając o bezpieczeństwie – mówi o funkcjonowaniu niektórych szkół pilot. – Dają licencję na wzrost, a potem są wypadki.

Warunki do uprawiania paralotniarstwa w Bieszczadach są specyficzne. Nie ma wyciągów na górę. Aby polatać trzy godziny w powietrzu nad Połoniną Wetlińską, trzeba trzy godziny wchodzić pod górę. Paralotniarzom to jednak nie przeszkadza. Trudy dźwignia 35-kilogramowego sprzętu rekompensują im wspaniałe widoki. – Latałem we Włoszech, Austrii, Belgii, Holandii, ale najpiękniej jest w Bieszczadach – zachwala lesczanin.

Przywiązanie do Bieszczadów nie popsuła nawet niemiła przygoda ze strażnikami Bieszczadzkiego Parku Narodowego. – Dwa lata temu wykonywałem lot z Połonyń Caryńskiej. Startowałem z kolegą ze szlaku, praktycznie z miejsca, nie depcząc niczego. Kiedy wylądowałem na parkingu w Berehach, nadjechała straż parku i spisała nas. Wyglądało to na rutynową kontrolę, po czym po 2 tygodniach przyszło wezwanie na kolegium w Ustrzykach. Dostaliśmy grzywnę w wysokości 50 zł. Kolegium orzekło też konfiskatę paralotni. Było to śmieszne, bo jak kolegium potraktowałoby turystę, który zszedł ze szlaku. Zabrałoby mu buty? Odwołaliśmy się do sądu i sprawę wygraliśmy, ale na adwokata straciłem 200 zł – opowiada Waław Kuzło.

Paralotniarze nie latają już z Połonyń Caryńskiej. Natomiast wykonują loty treningo-



Nad Połonią Wetlińską.

we, po uprzednim zgłoszeniu dyrekcji parku, w otulinie. Lody zostały więc przełamane, ale nadal jest zakaz latania nad parkiem. – Wydeptujemy przecież ścieżki tylko w jedną stronę – broni paralotniarstwa pilot. – W parku są bardzo dobre warunki do uprawiania tego sportu. Jedne z najlepszych w Europie. Mogliby tu przyjeżdżać ludzie z całej Polski, a w kraju jest 10 tysięcy paralotniarzy. Można na tym duże pieniądze zarobić.

Wyczynowcy

Paraglajciarze z Aeroklubu Bieszczadzkiego przemyślają się do lotu na wysokość 4 tysięcy metrów. – Do tej wysokości normalny człowiek wytrzyma bez tlenu. Wyżej zależy już od wytrenowania i indywidualnej zdolności organizmu. Paralotnia z silnikiem może wznieść się nawet na wysokość 5 tysięcy metrów – objaśnia Kuzło.

On sam doleciał najwyżej do wysokości 2,5 tysiąca m, ale Aeroklub Bieszczadzki zakupił właśnie silnik o większej mocy. Lecąc z prędkością 1,5 m/s graniczną wysokość osiąga się w 40 minut. Tyle samo zajmuje powrót na ziemię.

Ile można przelecieć na 3 litrach paliwa? Być może na to pytanie odpowiedzą bieszczadzcy paraglajciarze w przyszłym roku. – Po wystartowaniu gasi się silnik i leci wykorzystując prądy powietrza, kiedy nie ma noszeń, włącza się silnik i szuka kominów termicznych. Byłby to pierwszy taki wyczyn w Polsce – marzy się panu Wacławowi.

Paralotniarz z Leska zaraz po rekordowym przelocie nad Bieszczadami zapowiadał, że nie powiedział w tej sprawie ostatniego słowa. – Uważam, że są szanse przelecenia dystansu pięć razy dłuższego. Za Połonią Wetlińską. Można zadeklarować tzw. przelot po trasie trójkąta. Pierwszym punktem zwrotnym byłoby schronisko na Połoninie Wetlińskiej. Od Laworty to 30 km. Potem mógłbym polecieć do skrzyżowania w Czarnej i z powrotem do miejsca startu. W sumie daje to 60 km. Byłby to rekord Polski.

Bicie rekordu może jednak nastąpić dopiero w przyszłym roku, kiedy słońce znowu będzie stało wysoko nad horyzontem.

DOROTA MĘKARSKA